
Listy Józefa i Ignacego Komorowskiego do Marii Trębickiej

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 65/4, 217-245

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

LISTY JÓZEFA I IGNACEGO KOMOROWSKICH DO MARII TRĘBICKIEJ

Opracowała

MARIA GRZĘDZIELSKA

Listy, które tutaj publikujemy, o tyle zasługują na druk, że ich autorzy znaczną rolę odgrywali w kulturalnym życiu Królestwa Kongresowego w połowie w. XIX, adresatka zaś była przyjaciółką Cypriana Norwida, a później, jako pani Faleńska, sama została literatką. Osoby te były w różny sposób powiązane z towarzyską i umysłową elitą ówczesnej Warszawy, z młodszą emigracją, toteż niejedno można na podstawie ich listów uzupełnić lub sprostować i niejednego się dowiedzieć. Niezależnie od tego listy starszego z Komorowskich, Józefa, oddają klimat duchowy końca nocy paskiewiczowskiej i mówią nieco o stosunkach na scenie warszawskiej.

Józef Komorowski (1818—1858) ukazuje się w swoich listach jako aktor o wysokiej ambicji zawodowej, o rzetelnej świadomości własnego powołania, ale bezliście skrzepowany ówczesnymi stosunkami. Marzy mu się rola Hamleta, a grać musi tuzinkowych amantów. Kształci zdolną i ambitną adeptkę sceny, ale jej buzia nie podoba się prezesowi teatrów warszawskich, oberpolicmajstrowi Ignacemu Abramowiczowi, który oprócz tego, że był renegatem, uważał żeński personel teatrów za haremową rezerwę dla siebie i swojej łajdackiej kompanii. Aktora w dodatku traktowano jak „wyrobnika”, pozbawionego prawa do wypoczynku i wciąż niepewnego jutra. Dostyć tu powodów natury ogólnej, ażeby wyrzekać, lecz są i osobiste, jak własne liche zdrowie i ciężka choroba ukochanego Ignasia. Inne sprawy rysują się dyskretnie ze względu na osobę cnotliwej, choć wyrozumiałej adresatki, a Józef nieszczęśliwy jest z innego jeszcze powodu: cierpienie jego łączy się z silnym poczuciem upokorzenia i winy, tylokrotnie wyznawanym w listach do Trębickiej. Po powrocie z Francji, gdzie na jej życzenie odszukał Cypriana Norwida, czymś ją obraził i zasłużył na „klątwę” z jej strony. Czyżby pozwolił sobie na zbyt nieudane uniesienie, które przebija z jego listów pomimo maskującej je adoracji? Czyżby odważył się poddać zbyt wnikliwym komentarzom jej przyjaźń z „panem Cypryjanem”? Czy może dręczy go własna niedola życiowa? Miał przecież żonę, którą zbałamucił mu niepocziwy Włodzimierz Wolski. Cóż znaczy np. zapowiedź nieodwołalnego końca jakiejś ukrytej sprawy w liście z 21 lipca 1856? Z tym wszystkim pan Józef jest rzeczywiście chory, ma jednak również duszę hipochondryka, jest niepospolicie inteligentny, lecz słusznie określił go doktor Walter z Drezna jako skończonego neurastenika. Nie była to jego wina, żał nam rozdygotanego psychicznie aktora sceny warszawskiej, bo jak i jego brat,

jak wielu innych, jest to jeden ze straconego pokolenia, ofiara ponurej nocy paskiewiczowskiej.

Ignacy Komorowski jest bardziej naiwny, bardziej prosty, mniej „sproblematyzowany”. Inny też jego styl, inne sposoby odczuwania i wyrazu. W Cechu Głupców przed lat dziesiątkiem zwał się „sentymentalnie głupim”. To się nam zgadza, można by go nazwać też „słodko głupim”, Józef zaś byłby „gorzko głupi”. Jakże naiwnie brzmią w drugim liście rzymskim Ignasia słowa troski o stan duchowy Felicjana wraz z prośbą zwróconą do Trębickiej, ażeby nie opuszczała tej chorej duszy. Nie można mieć za złe zakochanym pewnej tajemniczości, aliści w marcu 1857 Maria i Felicjan byli już dawno po słowie. I Maria, zatroskana (wraz z Felicjanem) niedostatkiem Norwida, zdążyła mu już wysłać sporo wierszy swojego urodziwego wybrańca, poruszwszy wprzód Józefa i Ignacego Komorowskich, a pośrednio także Teofila Lenartowicza dopytywaniem się o adres paryskiego przyjaciela. Ignacy widocznie nic się w tych sprawach nie orientował, lecz musiał orientować się w nich Józef. On zapoznał przecież przyszłych małżonków, jakby już upewniony, że nie chodzi o Cypriana, i świadom, że on sam nie może być brany pod uwagę jako (od r. 1849) małżonek w stadium separacji. Ofiarował Marii Felicjana, co nie przeszkadza mu dalej adorować ją jako świętą, dobrą i anielską.

Inne to niż gorzkie i czasem impertynenckie listy Norwida, inne niż listy Felicjana, zmierzające stopniowo ku serdecznej poufałości szczęśliwie kochającego człowieka. Brak tu głosu adresatki — jej listy się nie zachowały. Dowiadujemy się, że jej pierwszy list do Józefa był francuski, za co otrzymała grzeczną i elegancką nauczkę. Jej pierwsze listy do Faleńskiego bywały dwujęzyczne i one dają miarę tego, o czym i jak mogła pisywać do Józefa, Ignacego i Cypriana. Adresatka, w kostiumie anielicy narzuconym na nią przez neurastenicznego aktora, musi nam się wydawać trochę „istotą nie z ziemi” — nie tylko w sensie użytym przez adorującego pana Józefa, lecz w tym żartobliwie dzisiejszym. Jeśli bowiem nosiła ów kostium bez protestu, ileż tu mogło być anhelicznego, choć niezupełnie świadomego kabotyństwa. Jeśli zaś protestowała bezskutecznie, to musiała z protestu zrezygnować w imię wiernej przyjaźni. A tymczasem wobec Felicjana okazała się istotą całkowicie z tego świata, czego jej za złe brać nie można i co jej tylko na dobre wyszło.

Jej wybrany, Felicjan Faleński, występuje w tych tekstach pośrednio i kilka razy, naprzód jako przyszły autor listów do Marii, w przewidywaniu Józefa równie niepospolitych jak pisane przez Cypriana. Nie pora ich tutaj oceniać, od Norwidowskich są w każdym razie bardzo różne. Później, w dwóch innych listach, chodzi o kolportowane przez Trębicką tomiki *Kwiatów i kolców* Faleńskiego, za które ona chce autorowi przez Józefa zapłacić niezależnie od sukcesu swojej prywatnej komisowej imprezy, lecz domyślny poeta odmawia przyjęcia pieniędzy od... ukochanej. Wynika stąd zabawny komeraż. A wreszcie, jak już wiemy, Ignacy błaga Marię o opiekę nad Felicjanem, gdyż niepokoi go jego sarkastyczny nastrój. Powodu do niepokoju nie było, Felicjan musiał drwić ze wszystkiego, gdyż nie był zdolny do słodkiej rezygnacji i do biernej zgody na wolę Boską. Pamiętajmy, że były to czasy po śmierci Mikołaja I i Paskiewicza, kiedy oczekiwano zmian w politycznym stanie Królestwa i kiedy Aleksander II rzekł polskim panom: „Żadnych marzeń!” Sarkazm i „psioczenie” Felicjana są przeto na czasie i na miejscu dobrze świadcząc o ich podmiocie. O życiowe zaś jego sprawy Ignas pocziwy troszczył się niepotrzebnie, gdyż autor *Kwiatów i kolców* nawiązał właśnie stosunki z krakowskim „Czasem” i lwowskim „Dziennikiem Literackim”.

Występują też w listach osoby bliskie Trębickiej, czcigodny „pan generał”

Karol Turno, jej ojczym, brat przyrodni Gothard, o kilkanaście lat młodszy, a wreszcie kuzynka, panna Anna, później Fiszerowa, a z domu chyba Trębicka. Matka Marii, Józefa z Laskowskich, dziedziczka Stryhowa, była jedynaczką, Trębickich zaś było dużo — w Grodzieńskiej guberni i na Mazowszu. Wspomniany też jest Aleksander Trębicki, w swoich własnych listach podpisujący się jako Oleś (brat Antoniego z Łomnej), w młodszych latach zakochany w Marii, zwanej w kręgu rodzinnym Mandzią, trochę gruźlik, wyglądający nam na poczciwego safandulę. Można też stwierdzić w listach nieobecność dawnej przyjaciółki, Marii Kalergis, co chyba warte podkreślenia.

A wreszcie w listach Józefa wspomina się o Łuszczewskich i ich córce Jadwidze — Deotymie. Przy tej sposobności aktor okazuje się przysięgłym wrogiem kabotyństwa i snobizmu uprawianego przez Deotymę i jej matkę, reprezentuje więc zdrowy krytycyzm i dobry smak, nie kontrolowany przez mocną wówczas salonową koterię.

Rękopisy listów braci Komorowskich znajdują się w Bibliotece Jagiellońskiej na k. 135—162 kodeksu o numerze inwentarzowym 4285, tego samego co listy Norwida do Trębickiej i wraz z nimi zostały tam złożone przez Faleńskiego po śmierci żony. Autografy są bardzo czytelne, nawet w fotokopii, toteż nasunęły się tylko dwa problemy tekstualne w liście Ignacego z 16 marca 1857. Układ listów nie jest w kodeksie chronologiczny, co dało się łatwo poprawić przy ustalaniu dat¹. Unormowano zgodnie z przyjętymi zasadami pisowni listów, zachowując jednak charakterystyczne błędy i osobliwości gramatyczne.

¹ Oto zestawienie kolejności listów (liczba arabska wskazuje numer listu w niniejszej publikacji; rzymska — pozycję w rękopisie, obok podana jest paginacja kart kodeksu): 1 — I, k. 136—137; 2 — IV, k. 142—143; 3 — VI, k. 146—147; 4 — II, k. 138; 5 — III, k. 140—141; 6 — VII, k. 148; 7 — V, k. 144—145; 8 — VIII, k. 150—151; 9 — X, k. 154; 10 — IX, k. 152—153; 11 — XI, k. 155; 12 — XII, k. 157—158; 13 — XIII, k. 159—160; 14 — XIV, k. 161; 15 — XV, k. 162.

1

[Warszawa,] 19 września [1851]

Przebacz mi Pani, że na list dawno już odebrany tak późno odpisuję, powód jednak może mnie usprawiedliwi: smutnym zbiegiem okoliczności czuć musiałem przez długi czas przy łóżku chorego brata, a spełniając ten obowiązek podwójnie przykry, mimo pociechy bardzo słodkiej, jakiej doznałem czytając list Pani, nie mogłem natychmiast podziękować, bo umysł mój, znużony bezsennością i trudami, nie był zdolny do porządnego skreślenia kilku wierszy; przykro mi to było bardzo, bo mogłaś Pani posądzić mię o niewdzięczność; teraz, kiedy mój brat z bardzo ciężkiej choroby przyszedł zupełnie do zdrowia, i ja odetchnąłem swobodnie; mogę Pani przesłać kilka myśli, które wątpię, aby miały porządną ład i konsekwencję, bo ja czuć, myśleć umiem, ale pisać — nie, szczerze się do tego przyznaję i o pobłażanie uprzejmie proszę.

Pani znasz, co to jest życie artysty, ale nie wiesz może, ile walk, trudów, cierpień sztuka i świat nagromadziły dla artysty scenicznego. Nieszczęśliwy, kto nierozważnie, z silnie bijącym sercem, głową pełną marzeń i ognistej wyobraźni, rzucił się z zamkniętymi oczyma w ten zawód, widząc go tylko w świetnych i jasnych barwach młodszej duszy, dla której nie ma zawał, nie ma trudów, ale rozkosze ducha czyste i niezmiennie, śliczne kwiaty, z których kielichów słodycz sama płynie. Kiedy doszedł do tego stanowiska, na którym świat zimny spokojną dłonią zrywa z oczu zasłony i ukazuje szaleńcowi przepaść, do której tak niezmordowanie dążył, przepaść zapomnienia kłamstwem otoczoną wokoło, a tu cofnąć się niepodobna, musi znów zamknąć oczy i rzucić się w tę przepaść, bo wszystkie starania, praca, cały zapał i wytrwałość w walkach i cierpieniach doprowadziły go tylko do brzegu tej przepaści: oto przyszłość, oto nagroda artysty dramatycznego. Może ja źle widzę, może się mylę, inaczej mówią ci, co nasz zawód w skutkach tylko pojmują, ale mnie się zdaje, że tylko sam artysta sędzić o tym potrafi. — Ale może też ja nie jestem artystą? Któż mnie o tym zapewni? Komuż ja uwierzę? Kiedy sam, pozbywszy się miłości własnej i pracując ciągle nad poznaniem samego siebie, nie umiem i nie śmiem nic o sobie powiedzieć, kiedy mnie praca nad uczeniem się ludzi doprowadziła do tego punktu, z którego widzę, że ich poznać i zbadać niepodobna, że prawda, co jawnie objawia się w całej naturze, w człowieku jest tajemnicą, i że ten szczęśliwszy bez porównania, kto szukając prawdy obrał sobie świat ziemi za cel badań, bo natura mu nie skłamie. Kwiat powie mu, co czuje, gwiazdy szczerze się do niego uśmiechną i nie zbłądzi po ich drogach; ale kto w serce ludzi zapuszcza wzrok badacza, wszystkie siły rozumu i serca starga, a praca jego daremną będzie. Dlaczego w najszczytniejszym tworze natury kłamstwo roztoczyło swój jad zabójczy? dlaczego ludzie kłamstwo szczepią i rozradzają? — Serce kłamie rozumowi, a rozum sercu kłamie. Kiedy widzę tę ogromną komedię świata, w której autorowie są razem aktorami, widzami i krytyką, smutno mi, ciężko w duszy i gorzko. — Dziwne na mnie wrażenie robi zbiór dzikich zwierząt dla zabawy naszej niby sprowadzanych. Patrząc na tę spokojną powagę, pełne grozy spojrzenia i obojętność ujarzmionego lwa, niższymi widzę od niego tych wszystkich ludzi, którzy mu się ciekawie przypatrują; nie wiem dlaczego, ale zawsze porównanie, jakie sobie zrobiłem, było upokarzające dla człowieka; i ile razy chodziłem oglądać dzikie zwierzęta, mimowolnie przejęty byłem jakąś czcią, jakbym oglądał wielkość i czystość prawdy ujarzmionej w sztuczne sidła kłamstwa. Powiedźże mi, Pani, nie jestże to zarozumiałość z mojej strony, że ja w ludziach tak mało widzę prawdy, wielkości i serca? A kiedy jestem zmuszony przedstawiać ludzi, w których nie wierzę, kiedy kłamstwo mi

mówić każą za prawdę i kiedy ja czuję, że to kłamstwo, i widzę, że wszyscy, co mnie słuchają, nie wierzą albo kłamią sobie, że wierzą, w to, co ja im przedstawiam, jakież to na mnie wrażenie robić musi i gdzie na takie przekonanie znaleźć pociechę? Co też Pani myślisz o mnie — rad bym bardzo usłyszyć o sobie sąd szczerzy, wyrobiony myślą poetyczną, prawdziwą, bo dotąd wszystko, co o mnie mówiono, dowodziło mi, że nikt mnie nie rozumiał tyle nawet, ile ja sam siebie rozumiem, a przecież to najtrudniejsze. Lękam się, czy Pani nie posądza mnie o egoizm, a lękam się tym bardziej, że nie wiem sam, czy egoistą nie jestem. Śmieszne to w moim wieku tak być dziecinny, tak drażliwym, ale czyż to moja wina? Nie obawiam się wynurzać najszczerzej przed Panią, bo obok życzliwości, jaką mnie zaszczyścić raczyłaś, a którą ja Pani z całej duszy wzajemnie oddaję, tyle prawdy czytałem w twoich oczach, tyle myśli prawych i jasnych widziałem pod gładką i wyniosłą pokrywą czoła twego, że śmiało policzyć mogę Panią do rzadkich zjawisk, jakie napotkałem w moim życiu. — List Pani, tak ładnie napisany, pełen uprzejmości, dobroci, dał mi prawo upraszać o odpowiedź; wiele, wiele pociechy doznałem czytając te wyrazy, które podyktowała Pani myśl piękna i prawdziwa, zdaje mi się tylko, że mogę upraszać, aby w liście, którym w odpowiedzi na ten obdarzyć mnie Pani raczysz, mniej było grzeczności, bo ja nie życzę sobie wcale należeć do rzędu ludzi, dla których Pani grzeczną tylko jesteś. Może mi Pani powiesz, że to niesłuszna pretensja, że ten zarzut nie da się usprawiedliwić, że ja może niedobrze rozumiałem, co Pani do mnie piszesz; zgadzam się na to wszystko — ach! bo i ja tam mało rozumiem. — *Ne croyez pas pourtant que je ne comprends pas assez le français, surtout quand le style en est si pur et correct; mais cependant si vous vouliez m'écrire en polonais j'en serais bien plus heureux; une lettre française me paraît toujours froide, j'y entends comme une conversation de salon que je déteste, et puisque Vous ne sentez pas en français, je suis sur que vous écrirez bien. Je vois que vous n'avez pas encore oublié ce reproche de l'accent étranger que je vous ai fait, mais c'est seulement dans la prononciation que je le remarquais et pas autrement. Soyez donc plus indulgente et moins susceptible car je ne sais pas être poli, je suis encore et je compte rester toujours un peu sauvage, je m'estime mieux ainsi*¹. Proszę nie myśleć, że ten ustęp po francusku napisałem w chęci dowiedzenia Pani, że umiem pisać po franc[usku] — przeciwnie, chciałem przekonać tylko, że rozumiał list Pani dokładnie; i jeżeli by Pani przykrym był przymus pisania po polsku, nie chciej Pani zadawać go sobie, dla mnie bowiem każdy list od Pani, czy w tym, czy w innym języku, będzie równie miły i zrozumiały. Nie wiem, czy mam Pani co donieść z nowości warszawskich, chyba to, że mamy na jakiś czas śpiewaczkę węgierską, o której już Pani

zapewne słyszała². Nie jest to talent pierwszego rzędu, ale głos, choć słaby, dziwnie miły i wysoki, nadzwyczaj giętki i wyrobiony, publiczność tłumnie przychodzi na jej przedstawienia. Obiecywano nam pannę Rachel³, ale na obietnicy się skończyło, jest teraz w Wiedniu, a stamtąd wraca do Paryża; żałuję, że jej widzieć nie mogę. — Kończę ten list ponowieniem prośby o odpowiedź, mam błogą nadzieję, że mi Pani niedługo czekać każesz. —

Józef K.

Miejsce i datę roczną ustalono na podstawie faktu z przypisu 2.

¹ Przekład: „Niech Pani jednakże nie sądzi, że nie dość francuszczyznę rozumiem, zwłaszcza gdy jej styl jest tak czysty i poprawny; gdyby wszakże Pani zechciała pisać do mnie po polsku, byłbym o wiele szczęśliwszym, list po francusku wydaje mi się zawsze chłodny, słyszę w nim jakby salonowe rozmówki, których nie cierpię, ponieważ zaś Pani nie czuje po francusku, z góry jestem pewny, że Pani dobrze pisać będzie. Widzę, że nie zapomniała Pani jeszcze owej wymówki z powodu obcego akcentu, którą Pani uczyniłem, ale to tylko w wymawianiu, a nie w czym innym. Niechże więc Pani będzie bardziej wyrozumiała i mniej drażliwa, gdyż ja nie umiem być grzecznym, jestem wciąż i mam nadzieję być zawsze trochę dzikusiem, lepiej się tak oceniam”.

² Kornelia H o l o s s y — występowała gościnnie w Teatrze Wielkim w sierpniu 1851, o czym donosiła „Gazeta Warszawska” w nrze 225 z 26 VIII 1851.

³ Élisabeth Rachel — Elissa F é l i x (1821—1858) — do Warszawy nie zawitała, a jej wędrowne występy odbywały się w latach 1849—1855, po czym wyjechała do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

2

Marienbad, dnia 21 lipca [1852]

List Pani odebrałem wczoraj, a ponieważ onegdaj przyjechałem do Marienbad zmęczony najokropniej ostatnią 12-milową podróżą (bo nie koleją żelazną, ale pocztą), zaledwie dziś czuję się zdolnym do pisania. Zgrzeszyłem bardzo i odpokutowałem za to, że dowiedziawszy się we Wrocławiu o przedstawieniach panny Rachel w Berlinie, zamiast do Drezna tam pojechałem, a chociaż przez 6 dni, którem w Berlinie przepędził, bardzo byłem chory, jednak nie żałowałem tego, bo rozkosz, jaką mi 3 przedstawienia Racheli sprawiły, wynagrodziła wszystko; widziałem ją w *Diane*, jest to dramat wierszem przez Emila Augier¹ — bez Racheli niewiele obudzić by mógł zajęcia, tego samego wieczora grała II akt *Athalii* Rasyne i, jakkolwiek zachwycony byłem przesliczną pełną prawdy i poezji Dianą, dopiero w *Athalii* zobaczyłem Rachel w całym majestacie — w całej wielkości. — Sądzę, że dosyć powiem, jeżeli wyznam z całą szczerością, że wszystko, com kiedykolwiek czytał i słyszał o tej cudownej istocie, najmniejszego nie dało mi wyobrażenia. — Może sztu-

ka, pod względem praw swoich i zasad uważana, pozwoliłaby coś zarzucić Racheli, ale na nią nie można patrzeć zimnym okiem znawcy i krytyka; gdyby zaś kto mógł się posunąć do tego, będzie to człowiek pozbawiony serca i uczucia — i jakież tedy sąd wydać może o tym, co tylko sercem się widzi, tylko uczuciem pojmuje. Jedna tylko Rachel tak grać może, wszystko jest jej właściwe, te środki tylko jej dozwolone — i niech się żadna aktorka nie waży imitować jej w czymkolwiek, bo powinna pamiętać na to przysłowie: „*du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*” — *et ce „pas”, je le jure, chacune franchirait irrévocablement*². Rachel szczytna jest prostotą, w chwilach spokojnych zdaje się, że każdą myśl przechodzącą przez tę piękną głowę czytać można na twarzy, a jej spojrzenie jest tak silne, tak potężne jak magnetyzera; zdaje mi się, że gdybym z nią grał, a ona zapytała mnie o co spojrzawszy na mnie, pewnie nie tę dałbym odpowiedź, jaką miałbym w mej roli. W uniesieniach, w chwili zapominania się jest porywająca, a w chwilach rzewnych, czułych, trzeba być kamieniem, żeby nie płakać jak dziecko. — Nawet zimne Niemcy, które z ironią jej słuchają, zapominają się, w miarę jak ta czarodziejka rozrzuca tysiące iskier elektrycznych i tymi najzimniejsze serca zapala; widziałem Niemca łyż ocierającego, choć się pierwaj przyznawał, że nie bardzo rozumie po francusku: — „*che fiens par couriochyté, monsieur, car che en franche compraintre tré pé*”³ — tak mi powiedział, jak go zapytałem, dlaczego tak mało publiczności bywa na przedstawieniach panny Rachel; choć z tej odpowiedzi poznałem, że mnie nie zrozumiał zupełnie, odpowiedział jednak dobrze, bo rzeczywiście wszyscy Niemcy na Rachel patrzą jakby na jakieś zwierzątko ciekawe, pocieszni są bardzo. — Ale już więcej o Racheli pisać nie mogę, bo mi się w głowie kręci, kiedy o niej myślę, a ponieważ dosyć jeszcze słaby jestem, więc muszę to na późniejszy czas zostawić, jak będę silniejszy i zdrowszy. — Z Berlina wyjechałem do Drezna, gdzie znowu 4 dni bawiłem, bo musiałem już dopełnić życzenia moich zacnych przyjaciół, a zwłaszcza dotrzymać słowa pannie Marii i radzić się doktora; w Berlinie zalecono mi bardzo doktora Waltera⁴, jednego z najznakomitszych w Niemczech, a nawet dostałem do niego od jego przyjaciela list polecający; jest to młody jeszcze człowiek, ale nadzwyczajnie światły i renomowany doktor, obecnie jest naczelnym lekarzem tutejszego szpitala miasta. Ogromną sympatię i wiarę we mnie obudził, egzaminował mnie dokładnie i bardzo serio, w rezultacie kazał mi udać się do Marienbad na 3 tygodnie, a potem, i to nade wszystko, kazał mi brać morskie kąpiele, ile tylko będę mógł najwięcej; powiedział mi przy tym, że słabość moja wynika jedynie z pracy w moim zawodzie, który on bardzo dobrze pojmuje, bo sam jest wielkim miłośnikiem teatru; mówił mi także, że dawno już nie zdarzyło mu się widzieć nerwów tak rozstrojonych jak

u mnie. — Przebacz mi więc Pani, że do Hedenusa⁵ nie udawałem się, bo ja zawsze wierzę w sympatię, a ten człowiek ogromną we mnie wzbudził. — Wczoraj pierwszy raz piłem wodę i dużo bardzo chodziłem, ale tak byłem strudzony, tak rozbity, tak smutny, że już powiedziałem sobie: chyba tu nie wytrzymam jak dni parę i ucieknę — dziś jednak znacznie już mniej czuję tego potrzebę i dziś powiedziałem sobie, że muszę wytrwać. Znalazłem tu sobie dosyć przyjemną rozrywkę, jest tu porządna bardzo strzelnica i można do celu strzelać, dziś więc strzelałem całą godzinę. — Jeżeli Pani byłaś kiedy w Marienbad, nie potrzebuję ci go opisywać, życie tu monotonne nadzwyczajnie, największą przyjemnością są spacerować po górach, w lasach, gdzie powietrze jest cudowne, balsamiczne, więcej pewnie wpływające na zdrowie jak sama woda mineralna. — Nie jestże to egoizm, że ciągle piszę o sobie, kiedy list Pani nacechowany cierpieniem, widzę, że Pani musisz być bardzo cierpiącą, dobrze to, że wyjeżdżasz na wieś, ale czyby nie lepiej było wyjechać za granicę do jakich wód i kąpiel? — List Pani zasmucił mnie bardzo. — Jeżeli ten list nieprędko Pani odbierzesz, to już najlepiej będzie adresować następny (którym mam nadzieję, że mnie obdarzysz) *poste restante à Paris*; chyba że prędzej, to jeszcze bym go odebrał w Marienbad. Ja tu zostanę aż do 10 sierpnia, potem zaraz wyjeżdżam, w Marienbad stoję w Neptun's Hotel. — Najczulsze składam raz jeszcze dzięki za dobroć i przyjaźń, której tyle już odebrałem dowodów. — Racz Pani przyjąć zapewnienie niewygasłej nigdy wdzięczności i przyjaźni —

Józef Komorowski

List na arkusiku z winietą parku zdrojowego i podpisem: *der Kreuzbrunn*, rok 1852 ustalono na podstawie takich faktów, jak np. projektowany wyjazd do Paryża i spotkanie z Norwidem.

¹ Wystawiony był po raz pierwszy w roku 1851.

² Przekład: „od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok [sentencja przypisywana m. in. Napoleonowi I], a krok ten, dając słowo, każda przekroczyłaby nieuchronnie”.

³ Tekst zniekształcony (z niemiecka po francusku). Przekład: „przychodzę z ciekawości, proszę pana, bo ja po francusku rozumieć bardzo mało”; okropny ten żargon, tzw. *charabia*, służy w literaturze francuskiej dla charakterystyki mówiących po francusku Alzatzyków i Niemców, tak np. mówi u Balzaka bankier baron Nucingen, z pochodzenia Alzatzyk.

⁴ Dr Walter (czy Walther?) — nie zidentyfikowany lekarz drezdeński.

⁵ Hedenus — lekarz wrocławski polecony przez Trębicką, która zasięgała jego porady latem 1858, jak świadczą jej listy do Faleńskiego.

Dieppe, dnia 3 września [1852]

Nie wiem, czy Pani odebrała mój list, który pisałem z Marienbad; zaadresowałem go stosownie do polecenia na ręce pana Aleksandra Trębickiego. Przykro mi bardzo, że dotąd nie mam wiadomości o zdrowiu Pani i mimowolne przecucia ciągle mię dręczą o wszystkich, których zostawiłem tak daleko — racz mię Pani uspokoić. W Paryżu byłem przez dziesięć dni, zaraz drugiego dnia po przyjeździe znalazłem wiadomą Pani osobę¹ i list wręczyłem, zastałem go w lepszym zdrowiu, niż się spodziewałem; dla mnie i dla niego (jak sobie pochlebiam) była to chwila bardzo radośna, nie potrzebuję zresztą opisywać Pani tego, Pani, która sercem swoim mogłaś widzieć tę chwilę. — Dużo mówiliśmy bardzo, dużo czuli, dużo myśleli [!] razem; najmilsze chwile spędzone w Paryżu były dla mnie, któreśmy razem przeżyli, dawno tyle głębokiej rozkoszy nie doznałem; jak wrócę, będę miał dużo bardzo do mówienia z Panią. — W Dieppe zostanę jeszcze do 15 tego miesiąca, a potem znowu na kilka dni pojadę do Paryża, wrócę do Warszawy przy końcu września. — Zdrowie moje w najlepszym stanie, tylko mi tutaj w Dieppe smutno i tęskno, sam jestem tu i najlepsze moje towarzystwo — morze, z którym najwięcej rozmawiam i które bardzo przyjaźnie odpowiada mi zawsze. — Nie będę Pani opisywał wrażenia, jakie na mnie pierwsza chwila, w której zobaczyłem tego olbrzyma natury, sprawiła; było to wieczorem i widziałem przy pogodnym niebie zachód słońca, to się tylko czuje, ale opisywać nie można albo trzeba umieć, a i wtedy będzie sztuka, ale prawdy nie będzie. — Ja czułem tę wielkość i piękność, więcej powiedzieć nie umiem, to tylko dodam, że w całej mojej podróży dwa wielkie przedmioty widziałem: morze i pannę Rachel — wszystko inne już na drugim planie mieszczę. — Teatra w Paryżu nie zadowolili mnie, bo najlepsi aktorowie opuszczają w tych miesiącach Paryż, wszystko więc talenta drugiego rzędu, zawsze jednak starałem się widzieć, co można było; zbyt wielkie miałem wyobrażenie o Teatrze Wielkiej Opery, widziałem tam *Roberta*², ale nic nie mam o nim do powiedzenia, jeden tylko *Samson*³, którego i tu widziałem w kilku gościnnych rolach, bardzo mię zadowolił, poznałem się z nim osobiście i jak wrócę do Paryża, będę u niego, od niego bowiem można się coś nauczyć; widziałem tu też znakomitego artystę, pana *Provost*⁴, także z teatru francuskiego w Paryżu, raz tylko grał w Dieppe i wyjechał nazajutrz; teraz będziemy tu mieli teatr, na który podobno chodzić nie można, bo to trupa, która tu zimuje, a publiczność w Dieppe cała składa się po większej części z Paryżan i cudzoziemców, którzy tu licznie bardzo zbierają się na kąpiele. — Dziś przeczytałem w gazecie, że Rachel jest w Paryżu i dziś występuje w *Mitrydacie*, a ja

tam być nie mogę; wyobraź sobie Pani, ile na tym cierpię. Najwięcej piszę o teatrze, o czymże ja więcej pisać mogę? Myśli moje daleko stąd, w kraju, do którego całą duszą już tęsknię, pragnę już, by jak najprędzej skończył się ten miesiąc, czuję najmocniej prawdę naszego przysłowia: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. — Wczoraj byłem na koncercie pani Gaveaux-Sabatier i pana Emila de Cieux; pani Sabatier, śpiewaczka z małym, ale miłym głosem, tylko tak dziwnie wymawiała w śpiewie, że choć po francusku śpiewała, bardzo mało rozumiałem; skrzypek, pan de Cieux, bardzo ładnie gra, ale słyszałem już wielu lepszych. — Poznałem tu w Dieppe znakomitego bardzo artystę rzeźbiarza, p. Graillon⁵, dziwny to i ciekawy bardzo człowiek, to jest ciekawy dla poznających go: do 24 roku życia był szewcem, ale czując zamiłowanie do sztuki, wsparty zapewne czyjąś radą, oddał się jej wyłącznie; cudne wyroby z gliny, których ma bardzo dużo, objawiają ogromny talent, jest to człowiek, który żadnej prawie nie odebrał edukacji, prosty i skromny do najwyższego stopnia, natura i natchnienie są jedynymi jego mistrzami, nigdy nikt mu nic nie pokazywał, a małe figurki, które z gliny wyrabia, to arcydzieła! — Siedzi tu w Dieppe, bo jak powiada, trudno byłoby mu bardzo osiedlić się gdziekolwiek indziej, dziś ma 45 lat; często u niego bywam i dużo bardzo mówimy ze sobą, dziwnie jest naiwny, jak dziecko, żalił się przede mną, że tak mało umie, że dlatego nie śmie nigdy zbliżyć się do grona artystów w Paryżu, choć imię jego tam bardzo znane i cenione, dostał nawet nagrody na wystawie londyńskiej, jest członkiem wielu towarzystw sztuki i umiejętności, ale osobiście nigdy nie bywał, boi się, żeby się nie czuł poniżonym we własnych oczach wobec ludzi, którzy obok talentu posiadają naukę i wyższe ukształcenie, ale mało z nich posiada ten święty ogień sztuki i to natchnienie. —

Chciałbym dużo bardzo pisać Pani, ale Bóg mi świadkiem, że nie mam o czym i nie umiem. — Przyjmij, Pani, to, na co mnie staje, i dopełnić racz myślą, czego tu brakuje. — Mimo najszczerzej chęci widzę, że nigdy nie nauczę się pisać, przykro mi to bardzo, zwłaszcza że dużo czuję i myślę. Pociesz mnie, Pani, łaskawie listem swoim, który będzie dla mnie nieocenionej wartości.

Józef K.

2-ą połowę listu tego pisałem dnia 4 września, w sobotę. —

Datę roczną ustalono na podstawie treści listu.

¹ Mowa o Cyprianie Norwidzie, znanym Komorowskiemu z czasów warszawskich.

² *Robert Diabeł* — opera G. Meyerbeera.

³ Joseph Isidore Samson (1793—1871) — wybitny francuski aktor charakterystyczny, profesor Konserwatorium.

⁴ Jean-Baptiste Provost (1798—1865) — aktor francuski, znakomity szczególnie w tragedii i komedii klasycystycznej.

⁵ Pierre Adam Graillon (1809—1872) z Dieppe — rzeźbiarz samouk, twórca drobnych form ceramicznych i z kości słoniowej; do jego doradców i przygodnych mistrzów należał m. in. David d'Angers.

4

Warszawa, dnia 13 paździer[nika] 1852

W przeszłą środę wróciłem z Paryża, dowiedziałem się, że Pani zdrowa, co mnie bardzo uspokoiło, bo oprócz jednego listu, którym mnie Pani łaskawie udarowałaś, a który odebrałem w Marienbad, nic już później nie wiedziałem o Pani; pisałem dwa listy według adresu, jaki mi Pani zostawiłaś, na ręce pana Aleks[andra] Trębickiego — a jednak listu od Pani nie miałem nigdzie; nie uwierzy Pani, jak mi to było smutno i jak ciągle byłem niespokojny. List zaraz po przyjeździe do Paryża wręczyłem C[yprianowi], z wielkim uczuciem był przyjęty i dużo mówiliśmy o Pani (przepraszam, ale inaczej być nie mogło). Najmilsze chwile, które spędziłem w Paryżu, były w jego towarzystwie; dołączam Pani list¹, który więcej zapewne Pani powie, niż ja mógłbym. Może Pani będzie w Warszawie, wszakże to w tych czasach zwykle Pani przyjeżdża — serdecznie pragnę widzieć Panią, a mam tak wiele do mówienia — o! bardzo wiele. Podróż moja była tak gwałtowną i krótko dozwalającą mi bawić w miejscach, gdzie mogłem i milej czas przepędzić, i coś skorzystać, że dziś wydaje mi się jak sen tylko i bardzo mało mogę o niej powiedzieć. Mam jednakże kilka miłych i kosztownych wspomnień, z którymi mógłbym jak najprędzej zwierzyć się Pani, mam trochę przykrości, które również pragnę zwierzyć Pani, bo pewny jestem ulgi. — Boję się, czy się Pani na mnie o co nie gniewa, bo jeżeli listy moje doszły, to godziło się choć raz pocieszyć mnie kilku słowami. Pan Aleks[ander] Trębicki powiedział mi, że Pani zdrowa, choć już dawno także nie miał wiadomości, ale miał list od kogoś z tamtych stron, jestem więc spokojniejszy i mogę dać o tym wiadomość C[yprianowi] do Paryża, który wraz ze mną, mając ciągle wiadomości o okropnościach cholery, w śmiertelnej o Panią był trwodze². — Nie piszę więcej nic oprócz prośby o łaskawą odpowiedź by w najkrótszych wyrazach, dopiero czytając list własną Pani ręką skreślony szczerze się uspokoję i odetchnę.

Prawdziwy przyjaciel

Józef Komorowski

¹ List Cypriana Norwida (z datą: „[Paryż] 1852, septembre”).

² Pamiętna epidemia cholery w r. 1852 spowodowała ponad 100 tys. zacho-
rowań, a blisko 50 tys. zgonów.

5

List Pani wiele mi sprawił radości, myśl bowiem o grasującej tam epidemii mocno mnie niepokoiła, a zwłaszcza wiedząc, jak Pani tam bez względu na siebie musiałaś być poświęconą ratowaniu chorych — Bóg łaskaw przecie, dzięki Mu za to! — Tak bym chciał dużo pisać, a w myślach moich taka bieda — i tym przykrzejszym jest dla mnie to przekonanie, że nie mogę wywzajemnić się za tyle dobrego, ile mi każdy list Pani sprawia. Dzięki, Pani, za pociechę w przykrości, jaką mi wypadek z listami mymi wyrządził¹, ale czy uwierzy Pani, że od tego czasu, jak drukowane czytałem niezręczne obroty moich myśli, pisanie każdego listu jest dla mnie trudne, mozolne i przykre nieledwie — na pozór mało ważna przyczyna, ale Bóg świadkiem, że to był cios tak dla mnie dotkliwy i bolesny, że dotąd jeszcze rany są świeże; posądzisz mnie Pani zapewne o zbytnią drażliwość — cóż ja temu winien? — to moje nieszczęście. Gdyby jeszcze sztuka moja dawała mi sposobność do zajęcia silniejszego, do pracy właściwej, ale nie — prawie nic nie mam, choć ciągle pracuję — pracuję jak za pańszczyznę, zmuszony uczenia się ról czczych, bezbarwnych, w sztukach tejsze co i role wartości; zabójcza to rzecz dla mnie, a tym bardziej teraz, kiedy czuję się zdolnym moralnie i fizycznie do czegoś lepszego. — Skarżę się z tym przed Panią, bo czuję tego konieczną potrzebę i wiem, że znajdę pociechę, bo Pani masz ten boski dar w wysokim stopniu; za to też ja Panią za świętą istotę uważam i szczerze do Pani się modłę. Od czasu przyjazdu mego z zagranicy prawie nigdzie nie bywam, u pp. Łuszcz[ewskich]² byłem raz tylko, ale ponieważ wiem, że jakaś tam znowu reprezentacja się składa, a ja szczerze chciałbym się od tego uwolnić, więc nie chodzę tam wcale; przykro mi, bo pani Łuszcz[ewska] bardzo dla mnie dobra i uprzejma, ale te wszystkie reprezentacyjne wieczory u niej są dla mnie zbyt uciążliwe i niezmiernie żenujące. Wreszcie zdaje mi się, że moim obowiązkiem jako artysty li tylko na scenie przedstawianie być powinno, wszelkie inne wyobrażam sobie niewłaściwe, a nawet w części śmieszne. Ponieważ Pani obiecujesz mi łaskawie swoje przybycie do Warszawy na jakiś czas w zimie, nie chcę więc opisywać Pani nic z tego wszystkiego, co doznałem w mojej malutkiej podróży, zostawiając to aż do przyjazdu Pani, a nawet, przyznam się szczerze, boję się o tym pisać, żeby się tak nie wydało Pani jak owe nieszczęsne listy w „Gazecie” drukowane. Otóż znowu sobie to przypomniałem i znowu myśl jak gwoździem zabita nic mi nie chce dać na list do Pani. Uważam ten wypadek jako karę za grzechy i teraz już z pokorą znoszę ten ciężar. Nigdy tyle nie zazdrościłem tym, co pisać umieją, ile teraz; co to za przyjemność być musi, jeżeli wszystko, co się czuje i myśli, można —

choć nie tak jasno jak czucie i myśl — wydać na papierze! — Są nawet chwile, w których jakaś gorączkowa chęć mnie zaczyna trapić, żeby pracować nad tym i nauczyć się; znowu potem następuje bezwładność i niechęć. — Z tego wszystkiego widzę, że dusza moja cierpi jakąś chorobę, nie zdaje mi się, żeby to były suchoty, a nawet ta myśl drżeniem mię przejmuje, bo przypominam sobie *Duszę w suchotach* Sztyrmera³, ale to wiem z pewnością, że dużo bardzo złego jest, a nic nie wiem, jak się leczyć, nic nie umiem sobie na to poradzić — smutny to stan dla mnie. — Ach! przebacz mi Pani te niedorzeczności, dosyć już tych narzekań! — Posyłam Pani egzemplarz *Grupy Simmlera*⁴, zdaje mi się, w litografii rysunek wiele stracił, nawet na podobieństwie niektórych figur, ale jak Pani będziesz w Warszawie, sama się o tym będziesz mogła przekonać, bo oryginalny rysunek Simmler zachował u siebie. Liścik załączony do mego jeszcze nie jest posłany, czekam stosownej okoliczności i okazji pewnej. — Ważne rzeczy mam do mówienia z Panią o Ni m⁵ i dlatego nawet z niecierpliwością i z utęsknieniem czekać będę przyjazdu Pani do Warszawy. — Kończę ten list zapewnieniem o najgłębszym szacunku i przyjaźni.

Józef Komorowski

Warszawa, dnia 3 grudnia 1852

¹ W „Gazecie Warszawskiej z r. 1852 (nry 183, 258—261) wydrukowano wyjątki z prywatnej korespondencji Komorowskiego do nieznanego adresata, złożone w redakcji bez upoważnienia autora. Ponieważ we fragmentach znajdowały się uwagi o aktorach warszawskich, sprawa stała się dosyć drażliwa i w rezultacie Komorowski był zmuszony dać wyjaśnienie na łamach warszawskich gazet; publikacji tej nie udało się odnaleźć w „Dzienniku Warszawskim”, odnaleziono natomiast jej przedruk w nrze 269 „Gazety Warszawskiej”, z uwagami redaktora Lesznowskiego.

² Mowa o Ninie i Waławie Łuszczewskich, rodzicach Deotymy, którzy prowadzili salon literacko-artystyczny.

³ Powieść *Sztyrmera* wydana w r. 1843 pod pseudonimem Eleonora Sztyrmer.

⁴ Zapewne chodzi o litografię wykonaną z obrazu olejnego Józefa Simmlera (1823—1868) przedstawiającą Deotymę w otoczeniu figur spisujących jej improwizację.

⁵ Tj. o Norwidzie, żeglującym wówczas przez Ocean.

Warszawa, dnia 21 lipca 1854

Tak dawno nie pisałem, że najszczerzej drżąc z obawy biorę pióro i piszę do Pani, nie obawiam się zaś o to, że źle napiszę, bo wszakże ten list drukowanym nie będzie, ale o to, czy Pani łaskawie przyjmiesz mój

list, w którym pewnie ani sensu, ani ładu nie znajdziesz! Tak mi jednak ciężą zarzuty, jakie słyszałem przed wyjazdem Pani¹, że zamknawszy oczy rzucam się w tę niepewną przyszłość, tak pragnę być lepszym, a tak mało nim być mogę. Pani zjawiasz się tak rzadko teraz dla mnie, gdyby choć pismem — prawda, że ja sam to złe sobie wyrządziłem, ależ mój Boże! kto ma tyle anielstwa i tyle uczucia, nie powinien ustawać w dobrym, każdy list Pani, każda jej rozmowa tyle mi dobrego sprawiają, Pani to sama wiedzieć powinnaś — nie chciejże przeto karać mnie milczeniem (bo to najsroższa kara) za to, co więcej może na litość i współczucie zasługuje. Jeżeli kto może pisać, w tym już dowód, że mu nie tak źle, bo bez spokoju w duszy trudno mówić, trudno i pisać. — Dlaczego mi jest źle i czemu nie jestem spokojny? może właśnie dlatego, że mi się o to pytają i z zdziwieniem tłumaczą mi moje własne położenie, choć każdy przekonany, że tylko jemu najgorzej na świecie; jest to tak zwyczajna piosnka, a zdaje mi się, że Pan Bóg tak właściwie rozdziela swe dary, że się nikt skarżyć nie powinien, i ja też inaczej już teraz myślę o tym. Dziś spotkałem pannę Annę² i dziś list ten piszę, bo ona dziś jedzie. Nie mogę tyle pisać, ile bym pragnął, bo nie zdążyłbym, a wierz mi, Pani, że tak trudno mi pisać, że już więcej jak godzinę siedzę nad tym listem, bo to ja zawsze do pisania listu dużo czasu potrzebuję. — Przyjmij, Pani, te kilka wierszy jako prośbę o łaskę, nie jak list; Pani, co więcej dobrocią niż rozumem pojmujesz ludzi i ich serca, nie odrzucisz tej prośby, a może ja też później będę szczęśliwszy i posłuszniejszy swoim chęciom. Za parę dni wyjeżdżam na wieś, potrzebuję koniecznie odpocząć, bo już mi sił brakuje. Panu Jenerałowi³ szczere uszanowanie, a Gothardowi⁴ serdeczne uściśnienie dołączam — a jak jego zdrowie?

Józef

¹ Nieporozumienie, które spowodowało tę półtoraroczną przerwę w korespondencji, mogło zajść zimą, z początkiem roku 1853.

² Prawdopodobnie Anna Trębicka (później Fiszerowa), kuzynka Marii.

³ Karol Turno — ojczym Trębickiej.

⁴ Gothard Turno — przyrodni brat Trębickiej z powtórnego małżeństwa jej matki, Józefy z Laskowskich, wtedy już od dawna nieżyjącej. (Pisownia imienia Gothard w listach niekonsekwentna, często: Gotard.)

Warszawa, d. 3 sierpnia 1854

Pojutrze wyjeżdżam na wieś, pragnę jeszcze do Pani parę myśli przesłać, tak mało napisałem w przeszłym liście, a Pani nieograniczona dobroć tak mi jest potrzebną, tak konieczną w życiu, że — odrzucając to moje smutne przekonanie o mej nieudolności — będę pisać, co mi na myśl

(wprawdzie dosyć ciężką i utrudzoną) przyjdzie. — Zresztą ileż to rzeczy się czyta, które może i takiej wartości nie mają, a komu tak czas korzystnie i użytecznie płynie jak Pani, ten ma zawsze dosyć, a nawet za nadto, bo nieraz i znudzić się może, i dużo przeczytać, więcej nawet, niż ci autorowie napiszą, którym pisanie jest tak potrzebne, jak konna jazda kobiecie (przepraszam!), a tacy najwięcej piszą; niech się Pani nie rozgniewa, bo mnie w tym usprawiedliwia złamana rączka¹, którą przeżegnać się mogło być trudno, która tak wiele dobrego robi, która tak ładnie i dobrze pisze. — Patrz, Pani, jak ja się kształcę, nie wiem doprawdy, jakim sposobem, ale w tym liście wyglądam trochę na usalonowanego grzecznego młodzieńca. — Niech się Pani ze mnie nie śmieje — to mimowolne — bach! otożem sobie poprawił; zapomniałem, że Pani to uważasz za najszczęśliwszą, i to bez reklamacji, co mimowolnie się powie, może to i słusznie, ale może też wyraz ten źle jest używany; filozoficzniej go biorąc głębszą nam myśl wyjaśni, mimowolnie — to znaczyć będzie wprost z serca, z uczucia, coś takiego, co nie przeszło przez alembik rozumu i woli, ale z duszy czysto i gładko wypłynęło; tylko że o takie wyrażenia dziś niełatwo i tak się zapomnieć nie każdemu dano. Widzę stąd, że Pani się znowu uśmiechasz, cóż ja temu winien, kiedy mnie nie stać na większą filozofię. Za to muszę się Pani pochwalić, że stałem się daleko więcej nabożnym teraz; na Lesznie, prawie naprzeciw mnie, mam śliczny, cichy kościółek Karmelitów i już od kilku dni, prawie odkąd mieszkam tu, codziennie z rana idę do kościoła i tam szczerze się modłę, a raczej ucę się modlić, bo i to niełatwo, zwłaszcza w mieście. — Ten jednak kościółek zupełnie wieś przypomina — małe organy i organista okropnie śpiewający, za to w grze jego jakaś inspiracja, niepodobna inaczej opisać, co ten człowiek wygrywa; kiedy trafię na mszę śpiewaną, to już nie mogę się tak modlić, jak bym chciał, bo i ksiądz, i organista straszliwą są przeszkodą. Ciekawym jednak, czy potrafię to zwalczyć i nie słyszyć, będę próbował. Musiałem przerwać pisanie dla tych niezdolnych interesów, które nie wiem dlaczego ludzie sobie powynajdywali, chyba żeby były przeszkodą w życiu. Pewny prawie byłem, że dostanę urlop, i już wszystko przygotowałem do wyjazdu na wieś, gdy nagle dostałem wcale niespodziewaną odmowną odpowiedź. — Muszę więc pozostać w mieście, a jednak tak jestem zmęczony, że przez czas jakiś wcale występować nie będę na scenę [!]. Chciałbym Pani donieść co z nowości warszawskich, ale sam tak się zawsze późno o wszystkim dowiaduję i tak łatwo zapominam, że ta myśl w straszny ambaras mię wprawia; bo i po prawdzie nic się tu nowego nie stało, a dla mnie wszystko, co się tu u nas dzieje, tak jest nieciekawe, że istotnie nie umiałbym nic napisać. Jedyne salon, w którym czasem bywałem — jak Pani wiadomo — zamknięty, nic jeszcze z podróży pp. Ł[uszczewskich]² nie

wiemy tutaj, ja przynajmniej. W teatrze przedstawiają nową operę Verdi, *Il trovatore* ³, ponieważ tekstu nie rozumiem, a muzyka nic mi nie mówi, jak zwykle Verdi, dla mnie zatem nie było tej opery wcale. Większą mi przyjemność robi czasem w Łazienkach u ojca ⁴, kiedy słyszę muzykę wojskową z daleka. — Najwięcej zresztą zajmuje mnie przyszłe wystąpienie mojej uczennicy, które przy końcu tego miesiąca będzie zapewne, o czym Pani podług jej życzenia szczegółowo doniosę; dotąd postęp ciągły i chęć nieustająca. Ja teraz nic robić, nic uczyć się sam nie mogę, szczególnie pamięć mam utrudzoną, nie dziwię się temu, boć to już 22-gi rok, jak ciągle uczę się na pamięć rozmaitych niedorzeczności, między którymi z rzadka jakaś lepsza, zdrowsza i piękniejsza zdarzy się praca; ach! jakież to ciężki, jak uciążliwy zawód — dla mnie prawdziwym stał się z a w o d e m. Pani mogę o tym pisać, bo pewny jestem, że znajdę pożałowanie i pociechę, a taką czuję tego potrzebę, tak jestem rozstrojony, niekontent z siebie, z ludzi, ze świata całego. — Życie czasem wydaje mi się tak czczym, tak niepotrzebnym, że nie umiem sobie wytłumaczyć, po co ja żyję i po co ci wszyscy ludzie chodzą, męczą się, oszukują się wzajemnie i mówią sobie, że są na obraz i podobieństwo Boga stworzeni! — straszliwa ironia!... Ach! tak bym chciał uciec od tego świata, który także ludzie kłamliwie nazywają światem, jest to raczej otchłań, próżnia — doprawdy, że kiedy ptaki prowadzą rozmowy z sobą (jak to na przykład opisał prześlicznie W. Pol ⁵), więcej tam myśli, czucia i życia, i prawdy — prawdy przede wszystkim \leftarrow jak w tych rozmowach tego ogromnego mrówiska ludzi; słyszałem raz na przykład, jak jakiś pan w towarzystwie 5-ciu innych, niezmierną uwagę zwracających na niego, opowiadał całą godzinę o sztukach Hermana ⁶, kuglarza, było to na śniadaniu u Kupca, ja siedziałem przy innym stole i mimowolnie słyszałem to nadzwyczaj zajmujące opowiadanie; proszę Pani, ci wszyscy panowie widzieli zapewne reprezentacje tego niegodziwego kuglarza i z zachwyceciem słuchali jeszcze tego pana, który im to wszystko opowiadał, co wiedzieli sami — czy to nie charakterystyczne? Mój Boże! i tacy ludzie są najużyteczniejszymi członkami społeczeństwa — kiedy już n i e p r a k t y c z n i są zawadą. — Nic mi nie pomaga to, że nie gram wcale, jestem ciągle prawie chory, a co gorsza — chory na duszy, niczym zająć się nie mogę, a ten brak zajęcia znowu męczy mię straszliwie — jak to źle, że ja się tak przed Panią skarżę, przed Panią, która tak umiesz używać czasu; wiem, czuję to dobrze, że moja własna wina, jestem ciągle jakąś zagadką dla siebie, niczym uspokoić się nie mogę, nie odmawiaj mi, Pani, swej łaskawej dobroci, napisz do mnie, przeczuwam wiele pociechy, a cieszę się błogą nadzieją, że mi Pani nie odmówisz, że zdejmiesz ze mnie tę straszliwą klątwę, jaką przed wyjazdem obarczyłaś mię; pełen pokory proszę, mówią, że pokora niebiosą przebija; a ponieważ Pani nie

z ziemi jesteś, głos mój pokorny powinien dojść do ciebie. Tak jestem niecierpliwy dowiedzieć się o zdrowiu Pani, czy szczęśliwie przybyliście Państwo na miejsce, a zwłaszcza jestem niespokojny o pana Gotharda, który przed samym wyjazdem był słaby. — Racz Pani uspokoić mię względem wszystkiego. Przepraszam Panią za mój list, który nawet odczytać się boję, bo przeczuwam w nim mało sensu i myśli, tak ja to sam w sobie teraz czuję. Tym bardziej nie śmiem teraz pisać do Pani, kiedy przeczytałem listy C[ypriana] i kiedy pomyślę o listach, jakie Fel[icjan] do Pani pisać będzie⁷. Niech mi jednak ubóstwo ducha mojego wyjedna u Pani łaskę, pragnąłbym zyskać sobie spełnienie słów Chrystusa, ale do tego także mi coś brakuje jeszcze. Powiedz mi, Pani, jak ja mam pracować nad sobą i co mam o sobie sądzić, im bowiem więcej zamyślam się nad sobą, tym mniej się rozumiem; może ja jestem chory — a jak się leczyć? — Ach! raz jeszcze Panią przepraszam za wszystkie brednie moje nieznośne. Napisz, Pani, do mnie, błagam o to najpokorniej, listy Pani są dla mnie jakimś głosem z nieba, czymś tak dobrym i pocieszającym, jakąś zbawienną rosą na moje schnące myśli i uczucia. Jeśli C[yprian] będzie pisał do Pani, zechciej mi kilka wyjątków z listów jego w swoim umieścić. A nade wszystko niech przyjazd na zimę do nas nie będzie prózną obietnicą.

Józef

Panu Jenerałowi racz Pani głęboki mój ukłon oświadczyć oraz upewnienie prawdziwego szacunku i szczerzej życzliwości. Pannie Annie uprzejme moje życzenia i serdeczny uścisk Gothardowi.

Skończyłem list 8 sierpnia.

¹ Aluzja do fatalnego wypadku, jaki zdarzył się Trębickiej w Berlinie jesienią 1845, gdy złamała rękę spadłszy z konia; skutki tej eskapady odczuwała stale później.

² Łuszczewscy z córką wyjechali wówczas do Karlsbadu.

³ *Trubadur* (1853) — opera G. Verdiego.

⁴ Jego ojciec Józef był burgrabią (administratorem) pałaców Łazienkowskiego i Belwederu.

⁵ Aluzja do fragmentu *Pieśni o ziemi naszej* (w. 368—383), rozpoczynającego się wersami:

Jeśliś, bracie, jest myśliwy,
Na wołyńskie zajedź stawy:
Boś nie słyszał takiej wrzawy
Dzikich ptaków, jakoś żywy.

⁶ W nrach 89 i 90 „Gazety Warszawskiej” z r. 1856 znajduje się wiadomość o jego pcpisach w Lublinie.

⁷ Z treści listu wynika, że Trębicka pod koniec lipca przebywała w Warszawie, co potwierdza wzmianka o przysłanych listach Faleńskiego, istotnie poznał on wtedy Marię i zaczął z nią korespondować.

[Warszawa,] 11 października [1854]

Zdaje mi się, że nie potrzebuję pisać, ile mi list Pani sprawił rozkoszy, bo pomimo całej chrześcijańskiej pokory musisz Pani wiedzieć, jaką pociechą zawsze dla rozerwanego i niespokojnego, a jeszcze nie-zepsutego serca są słowa łagodnej, czystej, promiennej duszy: dla mnie listy Pani są tym, czym wędrownemu w stepach oaza, czym w burzy żeglarzowi pierwsza gwiazda na horyzoncie. Jakże bym rad wypowiedzieć wszystko, co czuję, kiedy czytam te słowa, jakie Pani ze swego zacnego i pełnego dobroci serca wysnuwasz dla mnie, tym więcej wartość ich uczuwam, im mniej w sumiennym przekonaniu moim zasługuję. Zmartwiłem się bardzo ze stanu zdrowia Pani, pojmuję wszystko dokładnie, co Pani piszesz o swojej chorobie, której niebezpieczeństwo inaczej widzisz niż lekarze, i jestem najmocniej przekonany, że silna dusza Pani najprędzej ją wyleczy, stąd jestem zupełnie spokojny. Co do mnie, od jakiegoś czasu jest mi znowu zupełnie niedobrze, z tą różnicą jednak od Pani, że fizycznie zdrów, a moralnie chory — i w chwilach to przykrych, nieznośnych otrzymałem list Pani, sądzę Pani przeto, jaką on był pociechą dla mnie. — Muszę się użalić przed Panią, doznałem bowiem wielkiej przykrości — uczennica moja, o której Pani wspomniałem, przygotowana zupełnie do wystąpienia, przedstawiła się naszemu Prezesowi¹, który z powodu, że twarz jej nie podobała mu się, odmówił wystąpienia zupełnie, tak to u nas dbają o scenę. — Komedia *Honor i pieniądze*² doznała u nas wielkiego powodzenia, sądzę Pani o niej zupełnie podzielać. Rolę moją jednak rad bym przed Panią odegrać, bo dużo nad nią pracowałem, a pomimo że sam czułem, iż mi się udało, mało sympatii doznałem od publiczności. Smutno to bardzo dla artysty, kiedy i w tę chwilę, która jedynie jest jego, nie widzi skutku swoich usiłowań. Sąd własny nie jest tu dostatecznym, bo ta myśl, żeby nie stać się zarozumiałym, wszelką pociechę oddała, to tylko trochę może mię pocieszyć (choć w smutny sposób), że dotąd u nas publiczność najwięcej ceni efekt zewnętrzny, najwięcej klaszcze za kazania i morały, dobra, poczciwa, pobożna publiczność — przekonywam się, że większe miałbym powodzenie, gdybym zamiast aktorem został był kaznodzieją. Gniewał się na mnie Korzeniowski³, gdym się przed nim żalił, mówił mi, że nie pojmuję mojej drażliwości, przykro mi się zrobiło, bo tym mi dowiódł, że jakkolwiek znakomitym jest autorem, nie rozumie wcale powołania aktora; a jeżeli i tacy ludzie nas nie rozumieją, czegoż od innych spodziewać się możemy? Czy wie Pani, że ja coraz więcej tracę odwagę i wiarę w siebie, a w tych chwilach zwątpienia stan duszy mojej jest nie do opisania. Do Pani mogę tak pisać, bo naprzód już liczę na

wielką pociechę. — Trzeci raz ten list zaczynam — tak wiele mam teraz chwil, w których godzinę siedząc z piórem w ręku żadna myśl nie chce mi się zamienić w wyrazy i rozzłoszczony na siebie rzucam pióro. To niech mię wymówi przed Panią, że tak długo czasem nie piszę, ta choroba mej duszy w Pani jednej może na świecie znajdzie pobłażanie i uznanie. — Po długich próbach udało mi się uzyskać pozwolenie wyjechania na wieś na dni pięć! Zaledwo miałem czas oswoić się z wiejskim powietrzem, odetchnąć trochę swobodniej, musiałem wracać do pracy, u nas bowiem artysta uważany jest za wyrobnika, któremu każdy dzień liczą i zawsze im się zdaje, że mu za wiele płacą za jego robotę. — Wielkie na mnie wrażenie zrobiła na wsi chwila ciszy wieczornej przy zachodzie słońca — wielka to i uroczysta chwila, zdaje się, że natura cała w ogromnym milczeniu modlitwę wznosi do Boga, że śpiewa hymn dziękczynny za życie, które po pracy spoczywać ma za chwilę. Nie mogłem bez wzniesienia duszy, bez uczucia jakiejś błogości patrzeć i doznawać tej chwili — zdaje się wtedy ukorzonemu sercu, że czuje Boga w jego wielkim i groźnym majestacie. — Dobroczyzna dłoń Opatrzności opuszcza się nad ziemię i spokojem świętym osłania wszystkie cierpienia — nadaje nowych sił do walki, pozwala marzyć i dumać. Jakże wtedy samotność pożądana, źle wtedy z ludźmi, jeżeli ich myśli nieharmonijne, jeżeli obojętnie widzą tę chwilę i myślą, że to czas na herbatę i kolację. —

Jeżeli Bóg dozwala człowiekowi w taką chwilę zagłębić się w duchu i zamarzyć o tylu milionach podobnych mu stworzeń, o tej nieskończonej, nieustającej, tak rozmaitej walce duchów — a jednak z jednego źródła zrodzonych i do jednego źródła dążyć powinny — cóż to za ogromna potęga, co za świętość w stworzeniu! Ileż to serc, jak rozmaicie bijących w tej chwili, ileż to myśli, tak różnych, tak rozrzuconych po całym obszarze ziemi. Ileż to życia wre, burzy się, zaczyna i kończy, aby się znowu zaczynało. Jakże człowiek jest wielkim potęgą ducha swego, kiedy w jedną chwilę może myślą objąć i przebiec całe obszary ziemi, całe państwa duchów — całą naturę — w jednym westchnieniu, w jednej świętej, uroczystej chwili! a każda jest równie wielką, równie świętą, równie uroczystą chwilą! — O! lepiej się żyje, więcej się myśli, więcej się czuje na wsi — miasto obrzuca nas jakąś ciężką, duszącą osłoną, jakąś ironią szatańską w oczy i w uszy nam gra bez ustanku — życie w mieście wydaje mi się parodią życia, towarzystwo ludzi zbiegowiskiem nędznych komediantów przygotowujących się do odegrania czegoś, co sami źle skomponowali, i tak jak dzieci bawią się w konie zamieniając się z koni na stangretów, tak oni ciągle ze spektatorów zmieniają się na komediantów i, przeciwnie [niż] dzieci, lepiej się bawią! — Chciałbym Pani coś z nowin bawiącego się świata donieść, ale nic nie pamiętam — oto państwo Łuszczewscy wrócili i znowu zaczęły się poniedziałki, na

pierwszym nie byłem, ale jutro (piszę to bowiem w niedzielę), d. 21⁴ (podobno) paźdz[iernika], wybieram się tam; słyszałem tylko, że Deotyma improwizowała o podróży swojej, w której W i e d e ń był jej *uśmiechem*, a K r a k ó w był *sercem*. W dziwny strój teraz przybrana chodzi po mieście — szary kapelusz z szerokim rondem (taki, jak dzieci noszą, ale większy), z piórem spływającym, i suknia koloru *pain brulé*⁵, krojem pielgrzymim, mówiono mi to, bom sam jej jeszcze nie widział — (brak podobno tylko *des coquillages*⁶ na pelerynie). No! proszę Pani, czy to nie jest parodia? — ja się boję, że nasze salony niezadługo przybiorą wyraźną postać szpitali obłąkanych — bo już jakoś niewiele im do tego brakuje. Muszę raz przecie skończyć ten list i posłać go Pani, ciesząc się błogą nadzieją, że Panią w zimie zobaczę. Daj Boże! żeby tylko na nadziei się nie skończyło, tak jak w przeszłym roku. Niechże Pani chce być zdrową i o nas pamiętać. —

Racz, Pani, uściskać ode mnie Gotharda i serdeczny ukłon oświadczyć Panu Jenerałowi, dla którego mam nadzwyczaj wiele szacunku i poważania. Do widzenia, co daj Boże.

Józef

Datę roczną listu pomaga ustalić wzmianka o komedii Ponsarda *Honor i pieniądze* (zob. przypis 2); pisał o tej sztuce także Faleński w liście do Trębickiej z jesieni 1854.

¹ Nazwisko adeptki teatru nie jest nam znane. Prezes dyrekcji teatrów — Ignacy Abramowicz (1793—1867), oberpolicmajster warszawski w latach 1844—1862.

² *Honor i pieniądze*, komedia F. Ponsarda, jej prapremiera odbyła się w Paryżu w roku 1853.

³ Józef Korzeniowski mieszkał w Warszawie od r. 1846; jako autor dramatów i komedii miewał z Komorowskimi kontakty zawodowe i towarzyskie.

⁴ List, zaczęty tydzień wcześniej, powstawał chyba „na raty”.

⁵ *Pain brulé* (dosł.: przypalony chleb) — kolor ciemnobrunatny.

⁶ *Coquillages* — mięczaki, małże; powinno być: *coquilles* — muszelki, które symbolicznie ozdabiały stroje pielgrzymów.

Nie umiem słów znaleźć na podziękowanie Pani za te wyrazy współczucia i pociechy, jakimi mię Pani obdarzyć raczyła. List przyszedł w samą porę, gdyż właśnie z powodu deszczu i wichru muszę siedzieć pod dachem, choć jestem na wsi. — Byłem więc w bardzo złym humorze [!], aż tu naraz odbieram trzy listy: od Pani, Felicjana¹ i brata. — Pocięcha więc wstąpiła w serce i nie tak już smutnym świat mi się wydał jak poprzednio. — Dzięki Bogu, o ile mi się zdaje, wyprawa moja na

wieś nie będzie bez dobrego wpływu na moje zdrowie. — A lekarstwo radzone przez Panią o wiele się do tego przyczyni. Zresztą wiara, którą staram się w sobie ciągle obudzać, że muszę być zdrowym, wiele tu także stanowi. — A wiadomo, że bez wiary nic się tu na ziemi nie ostoi. — Trzeba więc wierzyć i czekać cierpliwie. — Jeszcze raz dziękuję Pani za jej łaskawą pamięć i te słowa pociechy, które błogi wpływ na mnie będą miały, załączam wyrazy głębokiego szacunku i poważania. — Racz, Pani, oświadczyć Kuzynce swojej moje podziękowanie za łaskawą pamięć i dołączyć szczere, życzliwe ukłony. —

Ignacy Komorowski

30.6.[18]56

Pierwszy z trzech listów Ignacego Komorowskiego, dla poratowania zdrowia przebywającego na wsi nad Wisłą.

¹ Felicjana Faleńskiego, wtedy już narzeczonego Trębickiej.

10

Warszawa, d. 21 lipca 1856 r.

Nie wiem prawdziwie, jak list mój zacząć do Pani, tak już dawno nie pisałem, że chyba tylko nieograniczona dobroć, jakiej Pani jesteś uosobieniem, łaskawie przyjąć raczy pismo bez ładu, wierny obraz mego charakteru, pismo chore tak jak dusza piszącego. Jestem przekonany, że Pani wierzysz w prawdę słów moich, że ja nie mogłem i dlatego do Pani nie pisałem, a nie mogłem przez niemoc ducha, który mnie tak często i na tak długo odlatywał. Pani, która proroczym duchem wszystko odgadujesz i czytasz w sercach jak w książce dla Ciebie otwartej, może mi wytłumaczysz stan mój, bo pewny jestem, że lepiej go widzisz ode mnie samego. Ja tak straciłem wiarę w siebie, tak czuję się słabym i bezwładnym, że nie śmiem odzywać się do dusz takich jak Pani, bo ich światło za silnie działa na zbyt słaby wzrok chorej duszy; a jednak, mój Boże! jaka cudowna moc w tych słowach, które mi Pani przysłałaś, czytając je i odczytując modłę się do Boga i wierzę w jego cudowną Opatrzność nade mną, i zaczynam trochę wierzyć, że ja coś wart jeszcze jestem, kiedy mi los ozłaca życie taką przyjaźnią jak Pani. — Pytasz Pani o zdrowie brata — dołączam liścik jego¹, który napisał do Pani, ciągle jest na wsi, ale w listach jego, które często odbieram, widzę, że znacznie ma się lepiej; przyjechał tu jego gospodarz i w tych dniach jadę z nim odwiedzić brata, a zdaje się, że zostawimy go tam jeszcze czas jakiś, bo ten pan tak szczerze i serdecznie o to prosi, dowodząc

nam, że Ignacemu źle tam być nie może, że już doprawdy nie wiemy, co o tym myśleć. — Ze mną nic się nie zmieniło², postanowienie, o którym Pani mówiłem, dziś śmiało powtórzyć mogę i najwyraźniej zapewniam Panią, że to już rzecz nieodwołalnie skończona. Darować sobie nie mogę tego zaślepienia, w jakie na czas popadłem. Stało się! Dziwię się tylko nad sobą, że jeszcze tak młody jestem — prawda, że druga refleksja bardzo zasmucająca staje mi przed oczy z urąganiem i innym przymiotnikiem mnie obdarza. Niech mi też Pani co o tym powie, bo ja sam siebie tak mało rozumiem. — Ale cóż to dziwnego — choremu wiele się przebacza, a są choroby nieuleczne, zdaje mi się, że do nieulecznych choroba duszy należy *par excellence*. Jednakże mnie niech Pani nic nie przebacza, niech mnie Pani surowo sądzi, ale razem niech mi Pani powie, jaki ja jestem, bo ja najszczerzej wyznaję, że nie wiem sam. A może mi Pani powie tak, jak bym ja sam sobie życzył, bo cóż to trudnego u Pani, ale ja tego nie chcę, ja pragnę czystego zwierciadła i nie takim chciałbym się zobaczyć, jakim być powinienem, ale jakim jestem. — O Boże! jakże ja zarozumiała! ale to nie moja wina — Pani sobie sama tego narobiłaś swoją dobrocią, że ja tak śmiało piszę o zajmowanie się mną, jakby to warto było, jakby to już nie dosyć; a jednakże prawda! nie dosyć — bo kiedyż biednemu dosyć współczucia, tak jak powietrza do oddychania — ciągle go potrzebuje. — Wreszcie, takie serca jak Pani same potrzebują tego, bo z tylą bogactwy cóżby robiły? — a te bogactwa dziwnie niewyczerpane, im więcej się ich rozdaje — tym więcej się mnożą, więc ja nie lękam się prosić. Jestem obecnie w usposobieniu tak nieszczęśliwym, tak mi całe życie moje dotąd wydaje się czczym i bezowocnym, że wyrazić tego nie potrafię. Żałuję, że obrał taki zawód, widząc, że nie ma środków, aby w nim być użytecznym członkiem społeczeństwa, i że praca moja kilkunastoletnia była marną, że ja darmo jem chleb i że nie jestem artystą, a jeżeli przyczyną tego nie ja — zawsze skutek jeden i ten sam. Dawno już znikły we mnie żądze oklasków i jeżeli mi kto mówi teraz czasem jaką pochwałę, takim gorzkim wydaje mi się to szyderstwem, że krew do głowy mi uderza, i gdyby nie rozsądek, może bym silniej czasem oburzył się; później sam śmieję się z siebie, bo zastanowiwszy się widzę błąd szczery ze strony tych ludzi, im tak mało potrzeba, tak tu łatwo u nich zostać sławnym, tak łatwo zniweczonym, że często wzdycham, aby okoliczność jaka przyjazna dozwoliła mi jak najprędzej zupełnie obojętną i nieznaną zostać dla świata figurą. Był czas, że zazdrościłem tym, którzy byli uradowani z oklasków i pochwał i zasympiali z uśmiechem w sercu i głowie, dziś tego nawet nie zazdroszczę, bo dziś każdy oklask irytuje mnie i wstydem ogarnia, a obojętność cieszy, bo mi się zdaje czasem, że mnie nie widzą i nie myślą o mnie. Przebac mi,

Pani, że ja tak piszę, ale to są myśli, z którymi nikomu zwierzyć się nie mogę, nikogo nie mam, komu śmiało bym mógł się spowiadać. —

Jutro wyjeżdżam rano statkiem parowym do mego brata. Przepraszam, że książki żądane nie przesyłam Pani natychmiast, ale za parę dni (bo tylko jadę na dwa dni) przygotuję i na pocztę pošlę, wkrótce więc za tym listem odbierze Pani żądane egzemplarze³. Teraz chciałbym bardzo wiedzieć, czy obietnica Pani na przyjazd tutaj będzie spełnioną i jak prędko. Jeżeli Pani raczy łaskawie mię udarować znowu pismem swoim, tak zawsze drogocennym dla mnie, dołącz Pani także karteczkę choć małą dla mego brata, któremu niewypowiedzianą sprawi to pociechę i rozkosz; on tak umiał ocenić dobroć Pani, że zasługuje na to —

Józef

Panu Jenerałowi, pannie Annie i panu Gothardowi racz Pani oświadczyć najszczerze moje pozdrowienie. —

¹ Mowa o liście 9.

² Niejasnych aluzji osobistych nie umiemy wytłumaczyć.

³ Mowa o egzemplarzach *Kwiatów i kolców* (Warszawa 1856) Felicjana Faleńskiego, które Trębicka zamierzała rozprzedać w swoich stronach sąsiadom.

Warszawa, 24 grudnia [1856]

Łaskawa Pani!

Kilka dni temu odebrałem list, w którym dobroci Pani i pamięci o cierpiących tak żywy dowód. Naprzód dziękuję za brata mojego, nie wątpię, że z rozrzewnieniem czytać będzie wyrazy życzliwe Pani. — Co do mnie — nie pochlebiałem sobie odzyskać łaskę Pani, czuję to najmocniej i najszczerzej, że sprawiedliwie ukarany zostałem, a jak i za co, to może ja tylko jeden wiem, a może i ja wiem niedokładnie, bo liczę się do ludzi, którzy ciągle omackiem błędzą po świecie. Powiniennem był dawno już pisać do Pani w interesie trochę przykrym dla mnie; przyjąłem posłannictwo dane mi przez Panią wręczenia Felicjanowi pieniędzy za *Kwiaty i kolce*; było to tak nagle, że nie miałem czasu zastanowić się, a pokazało się, że ani siebie, ani jego dobrze nie znam, nie umiałem (bo nie pojmuję w takich razach dyplomacji) oddać mu tych pieniędzy, nie chciałem ich przyjąć wcale, ja zaś nie śmiałem Pani ich zwracać, bo czułem się trochę upokorzonym w własnych moich oczach. — Zdawało mi się, że z czasem Felicjan zrobi mi to ustąpienie i przyjmie, ale gdy tego nie myślałem, chciałem pisać do Pani i tak mi się dziwnie nie wiodło, że nie mogłem nic napisać. Racz więc Pani, nie wspominając o mojej skardze

Felicjanowi, napisać do mnie list ze sprawozdaniem sprzedanych egzemplarzy, a ja dołączę pieniądze i odeślę mu, bo zdaje mi się, że innej rady nie ma. — Z bratem moim ciągle koresponduję, zdaje się, że pomimo silnego wrażenia, jakie smutny zgon doktora Rose, towarzysza jego, sprawił na nim, i pomimo że zanadto przedłużył pobyt w Wenecji, a teraz podróż odbywa w tak niedogodnej porze, zdrowie jego, jak mi pisze, jest znacznie lepiej; obecnie udać się miał przez Genuę do Cività Vecchia statkiem parowym, skąd do Rzymu na resztę grudnia i styczeń, a potem według zalecenia Chałubińskiego¹ na luty do Florencji lub Pizy. —

Teraz najcięższy dla mnie ustęp listu Pani, to jest rada względem Cypriana². Boże mój! jeżeli Pani, tak pełna taktu i delikatności i taką przyjaźnią złączona z Cyprianem, obawiasz się i nie wiesz, jak w tym postąpić, cóż ja mogę poradzić? chyba upewnić Panią, że od Pani każda propozycja prędzej przez niego pojęta i przyjęta będzie jak od kogo bądź na świecie. Zresztą, widzi Pani świeży dowód, jak ja niezgrabny jestem w rzeczach delikatnego taktu wymagających. —

Rzewnie dziękuję Pani za życzenia pociechy i spokoju oraz szczęścia tych, którzy mnie najbliższej obchodzą. Są to życzenia ze świętej duszy Pani płynące — dlatego ufam najmocniej w ich spełnienie. —

Józef Komorowski

Datę roczną listu uzupełnia się na podstawie wzmianki o *Kwiatach i kołcach* (zob. list poprzedni).

¹ Dr Tytus Chałubiński (1820—1889) — już wtedy wzięty lekarz.

² Poinformowana przez Faleńskiego o niedostatku Norwida, próbowała mu Trębicka dopomóc, nie udało się jednak doprowadzić do zawarcia umowy między Norwidem a Jules'em Janin, redaktorem „Le Journal des Débats”, o wykonanie ilustracji do jego książki, Norwid za to oświadczył się Trębickiej, już będącej po słowie z Faleńskim. Stąd szukanie rady u Józefa Komorowskiego, który chyba wiedział o planach matrymonialnych Trębickiej, ale nie musiał wiedzieć o kroku Norwida.

Rzym, 6 stycznia 1857

Nie przesyłam Pani podziękowań za Jej list pełen pociechy, bo uważam to za rzecz tak zwyczajną i zużytą, że zdaje mi się, iżbym ubliżał Pani, gdybym tą monetą spłacał serdeczne Jej słowa. — Powiem tylko to, że list Pani zastał mię bardzo smutnym, z sercem ciężkim od tęsknoty, i że po przeczytaniu jego łzy strumieniem mi się puściły. — Za te więc łzy wywołane współczuciem, jakie mój stan w Pani obudza, a który tak

wiernie pojmujesz, niech ci Bóg stokrotnie nagrodzi. Pani, coś zapewne wiele już w życiu doznała, potrafiisz pojąć, jak czasem łyż są rzeczą pożądaną i jaką ulgę przynoszą. —

Obecnie, dzięki naprzód Bogu, a potem wiosennemu ciepłu powietrza, które tu prawie ciągle mamy w Rzymie, zdrowie moje znacznie się zaczyna polepszać. — Przyczynia się do tego i to, że z porady doktora tutejszego nie wychodzę raniej jak o 11-stej, a wracam do mieszkania o 4-tej przed zachodem słońca, w niepogodę zaś wcale mi wychodzić nie wolno. — Dziwne stąd położenie moje: mnóstwo galerii napełnionych arcydziełami i pamiątek ciekawych otacza mię, a ja, zamknięty w domu, nie mogę nic oglądać. — Mam tu wprowadzić kilku znajomych artystów malarzy, którzy mię czasami odwiedzają i starają się, jak mogą, rozweselić, mam kilka książek bardzo interesujących, ale to wszystko niedostateczne dla mnie i tęsknię, tęsknię ogromnie. — Nieraz sobie wyrzucam, że nie posiadam dość siły, aby się czymś zająć, żeby zapomnieć o oddaleniu od kraju, od rodziny. — Ale cóż czynić, kiedy to uczucie silniejsze nad wszelkie rozumowania. — Pani to zrozumiesz dokładnie, boś także była z dala od swoich, pojmujesz więc zapewne i to, że jedyną pociechą w takim stanie jest nadzieja powrotu kiedyś, a osłodą ta myśl, że są w kraju osoby, które pamiętają o nas i słowami pociechy wiążą nas do świata, krzepią zwątlone siły do wytrwania. Może Bóg dobry pozwoli mi kiedyś osobiście podziękować Pani za Jej dobroć dla mnie. Teraz zaś niech mi wolno będzie choć w ten sposób zapewnić Panią o moim głębokim szacunku i szczerzej wdzięczności.

Ignacy Komorowski

13

Rzym, 16 marca 1857

Byłbym już dawno pisał do Pani, gdyby nie to, że nie byłem w stanie wzięść pióra do ręki, tak rozdrażniony byłem fizycznie, tak upadły na duchu, że nieraz nie mogłem zebrać myśli na prostą odpowiedź w rozmowie potocznej, cóż dopiero, gdyby mi przyszło list jakiś, choćby najkrótszy napisać. — Wiem, że Pani to rozumiesz i gniewać się na mnie za to nie będziesz, żem tak dawno nie pisał. — Bo pisać dlatego tylko, żeby pisać, to łatwo. — Ale z życzliwymi nam osobami nie tak się ta rzecz odbywa. — Tych nie chcielibyśmy zbywać lada słowami. — Z tymi miło nam tylko wtedy rozmawiać, kiedy dusza nasza spokojna i myśl w jakim takim porządku. — Dzięki niebu od kilku dni czuję się znacznie lepiej pod względem zdrowia, chwytam więc tę chwilę, żeby choć cokolwiek donieść Pani o sobie i przekonać Ją choć w części, ile sobie

cenie tę Jej życzliwość dla mnie. — Miałem zamiar opuścić Rzym 1 marca, ale wszyscy moi znajomi wraz z doktorem, którego się tu radiłem, tak mi odradzali zmianę miejsca, że w końcu rad nierad musiałem zostać. — Nie gniewam się ja o to bynajmniej, bo na obejrzenie wszystkich osobliwości Rzymu i tego czasu za mało, który tu bawię. — Widziałem gruzy wszystkie i pamiątki przeszłości, najwięcej jednak na mnie wrażenia zrobiło Colosseum, te ogromne mury, z których wierzchołka tłumy ludu rzymskiego bawiły się i przyklaskiwały straszynom scenom męczeństwa chrześcijan. — Dziś tam nie słychać ryku lwa ni jęku konających, cisza wokoło, w pośrodku wznosi się Krzyż, ten symbol tryumfującej wiary Chrystusa. — Dziwne to miasto ten Rzym, tak można się do niego przyzwyczaić pomimo demoralizacji ludu, który na każdym kroku stara się nas odrwać i oszukać. — Tyle tu jest uroków dla duszy, że gdybym był zmuszony mieszkać za granicą, to zdaje mi się, że nigdzie by mi lepiej nie było. — Znam dobrze tę uliczkę, o której Pani wspominasz, bo przez nią zawsze powracam z mojej przechadzki po Pincio, gdyż tak jest spadzista, że tylko schodzić mi z niej wolno. — Jest tam jeszcze na dole na rogu Hotel Servy¹, ale naprzeciwko zamiast składu rycin jest sklep muzycysty², prawie zawsze, jak tamtędy przechodzę, przypomina mi się to, co Pani o tym miejscu pisała. — Co do smutnego wrażenia, jakie sprawia zima tak dziwnie podobna do lata, to pod tym względem zupełnie z Panią sympatyzuję. Ta wieczna zieloność nuży nareszcie do tego stopnia, że oko mimowolnie wyteęza się z tęsknotą za tymi górami pokrytymi śniegiem, przypominającym mu jego ziemię rodzinną. — Prawda, że dla biednych piersi moich powietrze to łagodne bardzo zbawienny wpływ wywiera, ale gdybyż to można ciało tu zostawić, a duszą przenieść się tam, gdzie cieplejsze serca, choć powietrze chłodne i ziemia na wpół martwa. — Cóż robić, trzeba czekać cierpliwie tej polskiej wiosny, by razem z bocianami wrócić na swoje gniazdo, za którym tęsknię czasami ogromnie. — Przypomniałaś mi, Pani, Wenecję, którą pamiętać będę zawsze — pomijając smutne chwile, jakich mi tam nie brakło, nie zapomnę nigdy tego rozkosznego wrażenia, jakie widok tego fantastycznego miasta na mnie sprawił — ten brak turkotu powozów, te gondole przesuwane się w ciszy między krzyżującymi się kanałami, te wąskie i czarne uliczki, place wspaniałe, a mianowicie Ś-go Marka z kościołem jego starożytnym, przejmujące jakimś dziwnym uszanowaniem i nowym zupełnie urokiem duszę napęlnia. — Chciałbym jeszcze kiedy być w Wenecji, bo jest to miasto, za którym nie można nie tęsknić raz go [!] poznawszy. — Z tym wszystkim brak muzyki dający się mocno w całych Włoszech teraz uczuwać, gdzie sztuka ta teraz na najniższym stopniu stoi, obudza we mnie chęć udania się do Paryża, co zapewne w początkach maja nastąpi. — Tam usłyszawszy parę razy operę wielką, komicz-

ną, która ma być doskonała, i choć jeden koncert konserwatorium, kolejną żelazną w cztery dni będę w Warszawie. Cieszę się mocno tą nadzieją, że Pani tego lata ma być w Warszawie, bo to mi daje sposobność podziękowania Pani ustnie za Jej zacną i łaskawą pamięć o mnie. —

Racz Pani wierzyć w szczerść tego, co piszę, że te słowa współczucia i pociechy, jakie odebrałem od Pani, tym szacowniejsze, że nie zasłużone niczym, przejmują mię głęboką wdzięcznością, która trwać będzie zawsze. — Od Felicjana Faleńskiego miałem niedawno list, który mię bardzo zasmucił, bo spomiędzy sarkastycznych dowcipów smutny stan duszy jego mocno przebija. — Pani, którą on tak ogromnie wysoko ceni, nie opuszczaj tej zranionej duszy i pokrzepiaj ją tymi słowami wiary i pociechy, bez której i najsilniejszy duch upada nieraz pod ciężarem przeciwności. — I ja miałem nieraz takie chwile bolesne, ale dźwigała mię z nich wiara i modlitwa, jedyne prawie lekarstwo na cierpienia duszy. — Naprzód już cieszę się tą myślą, że wróciwszy — da Pan Bóg — do Warszawy, spotkam tam Panią. — Tymczasem choć listownie racz Pani przyjąć zapewnienia szczerzego szacunku i głębokiej wdzięczności. Kończę tym słowem co i Pani, do widzenia!!... — — — —

Ignacy Komorowski

Bardzo mi przykro, że tym razem nie mogę się Pani przysłużyć adresem Cypriana Norwida, Lenartowicz nie wie³, dowiadywałem się, ale nikt mię nie mógł objaśnić. — Mam zamiar sam być w Paryżu, to wtedy zaraz Pani doniosę.

¹ Można odczytać również: „Serny”.

² W rękopisie: „muzycyści” (wł. *musicista* — muzykant). Tu oznacza sklep z nutami oraz instrumentami muzycznymi.

³ Norwid 30 X 1856 zapowiedział zmianę mieszkania, Lenartowicz miał ostatni jego list z datą: 19 X 1856, i adresem: ulica Chaillot 107 — w ten sposób gotowa do pomocy Trębicka nie mogła Norwida odszukać.

Warszawa, dnia 29 marca 1857

W sam dzień ś-go Józefa miałem przyjemność odebrać list Pani, w którym taż sama zawsze dobroć i łaskawość. Dziękuję Pani serdecznie i śmiem zapewnić o niewygasłej wdzięczności za przyjaźń, którą list Pani tchnie cały i w którym Twoja piękna i święta dusza promienieje. Bóg widać wysłuchał modlitwy Pani, za którą łzami tylko mogę podziękować, bo mi jest od kilku dni znacznie lepiej — ale bardzo ciężko byłem

chory, od stycznia samego nie wychodziłem jeszcze wcale. Przykro mi było bardzo, że p. Gothard był u mnie w takiej porze z rana, kiedy go nie mogłem widzieć, bo zwykle po bezsennej nocy zasypiałem nad ranem, a pojmuje Pani, jak ten sen był mi potrzebnym; dlatego też do południa nikogo nie przyjmowałem, prosiłem go tylko przez służącego, żeby był łaskaw po południu przyjść, ale mi kazał powiedzieć, że tego samego dnia wyjeżdża, więc nie może; szkoda, że w ten dzień dopiero był łaskaw przypomnieć mnie sobie, bo tak byłbym pragnął go widzieć. Za kilka dni, a najdalej około 15 kwietnia, i ja wyjeżdżam, to bowiem dr Chałubiński zalecił mi koniecznie; pojedę do Florencji, gdzie złączę się z moim bratem, od którego list dołączam¹. Cieszę się teraz z mojej choroby, bo gdyby nie ona, musiałbym w ciągłej niespokojności o brata, jeszcze zostawać przez trzy miesiące, a tak jakoś obu nam lepiej będzie. Przez ciąg mej choroby pisząc do niego musiałem mu jawnie kłamać, bo jakże mu donosić było o chorobie ojca i mojej. I teraz dopiero nad samym wyjezdnym poślę mu list do Rzymu uwiadamiający go o moim wyjeździe do Florencji, gdzie się razem zapewne zjedziemy. Przesłane mi dwa wiersze w dawniejszym już liście T. Lenartowicza² przepisuję dla Pani, bo wiem, jak jej będą przyjemne, i list mój kończę powtórny podziękowaniem za dobroć, przyjaźń, którą cenić umiem, choć może nie umiem dostatecznie na nią zasłużyć, jak bym pragnął; ale trudno, takim tylko istotom jak Ty, Pani, wolno być aniołami na ziemi, ja słabym tylko człowiekiem jestem, ile jednak w sercu człowieka mieścić się może wdzięczności, tyle jej mam dla Pani.

Józef Komorowski

Racz, Pani, oświadczyć głębokie moje uszanowanie p. Jenerałowi, kuzynce i przeprosić pana Gotharda za to, że go przyjąć nie mogłem.

¹ Chodzi o list Ignacego Komorowskiego z 16 III (tj. list 13).

² Wiersze nie zachowały się przy tym liście. Trudno stwierdzić, o jakie utwory chodziło.

Ciężki cios mnie dotknął¹, a lubo dawno przewidywany, Pani to pojdziesz, że boleść nie tylko mniejszą być nie może, ale o cały czas oczekiwania ostatniej chwili dłużej się wyrabia; dziwi mnie, że tak mało ludzi to pojmuje, nieledwie każdy na pociechę mówi mi: — no! cóż? dawno już byłeś na to przygotowany! — Pani, choć na tym świecie żyjesz, ale nie jesteś z tego świata, dlatego ja śmiało żal mój przed Panią objawiam, dlatego od Pani oczekuję kilku słów pociechy, bo wiem, że

Pani umiesz pocieszać. — Pisma zapewne już doniosły Pani to, co zresztą i tak łatwo byś Pani odgadła, a mnie drży ręka, gdy mam wyraźnie to napisać. Później, jeżeli Pani tego zażadasz, bardziej, szczegółowo opiszę ostatnie chwile drogiego mi nad wyraz brata, teraz nie mogę więcej pisać. — Przyjm to Pani tylko za prośbę o napisanie mi słów kilku, bo tego bardzo potrzebuję.

Józef Komorowski

[Warszawa,] dnia 16 paźdz[iernika] 1857

adres mój: dom Grodzickiego na Krak[owskim] Przedm[ieściu].

¹ Ostatni list, pisany po śmierci Ignacego (14 X 1857) i na pięć miesięcy przed śmiercią autora, Józefa Komorowskiego.